Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Długo się wahałem zanim zasiadłem do pisania tego listu, którego celem jest polemika z recenzją książki Józefa Mackiewicza pióra W.A. Zbyszewskiego („Nagroda Nobla"; „Kultura" nr 10/96). Bo — niby po co mam polemizować? Zgadzam się całkowicie z autorem recenzji, że „Droga do nikąd" jest powieścią „która będzie należała do żelaznego repertuaru polskiej literatury". I zgadzam się że Józef Mackiewicz jest wybitnym, znakomitym i wielkim pisarzem polskim okresu powojennego. (W ostatnim zdaniu pominąłem tylko użyty przez p. Zbyszewskiego przedrostek „naj", mam bowiem uprzedzenie do superlatywów i w ogóle uważam że wydawanie na gorąco dyplomów na „największość" byłoby zajęciem trochę ryzykownym). Zachwytom moim nad powieścią Józefa Mackiewicza dałem zresztą wyraz w „Wiadomościach" londyńskich (nr 488). Skoro więc zarówno W.A. Zbyszewski jak i ja chwalimy Józefa Mackiewicza, tedy zdawałoby się że nie ma podstawy do polemiki. A jednak...

Metoda, której używa pisarz, i konkluzje, do których dochodzi, są jego dobrym prawem. Niemniej jednak metoda i konkluzje p. Zbyszewskiego tak mnie zaskoczyły i tyle we mnie obudziły sprzeciwów, że dla pełniejszego i jaśniejszego ocenienia wartości książki Mackiewicza warto chyba te rzeczy przedyskutować.

Zacznę od metody. Metoda porównań jest jak wiemy tak zawodna, że się nawet doczekała powszechnie znanego przysłowia. Porównanie staje się tym zawodniejsze im mniej jego obiekty są nawzajem „adekwatne". Pan Zbyszewski tyle razy porównuje Józefa Mackiewicza z jego bratem Stanisławem, że wzięła mnie pokusa przeliczenia ile razy wymienia Stanisława. Doliczyłem do dziewięciu i — straciłem rachubę, bo natrafiłem na bite półtorej stronicy poświęconej wyłącznie Stanisławowi. Nie przetarłem oczu ze zdumienia, bo wiem że taki zabieg nic by mi nie pomógł, ale za to dałem sobie folgę w okrzyku: jak można w ogóle na serio porównywać dwóch pisarzy, których — jako pisarzy — nie łączy nic, ale to absolutnie nic, prócz faktu że obaj piszą, no i że się urodzili braćmi! Pan Zbyszewski jednak używa wyrazów „bracia Mackiewicze" ze swobodą i gracją jak gdyby mówił o braterskiej spółce pisarskiej lub o przedwojennych „Braciach Jabłkowskich". Przeprowadza tę metodę wiwisekcji familijnej z taką konsekwencją i taką pasją, że chwilami podejrzewałem czy nie jestem świadkiem zamaskowanego wyrównania jakichś niezrozumiałych dla czytelnika zadawnień. Tego rodzaju podejrzenie byłoby całkiem usprawiedliwione, gdy się weźmie pod uwagę że W.A. Zbyszewski poświęca całą stronicę ocenie książki Stanisława Mackiewicza pt. „Stanisław August". Można uważać

„Stanisława Augusta" za arcydzieło — można uważać za rzecz nieudaną. Ale — co ma „Stanisław August" wspólnego z „Drogą donikąd"? Napisałem: „podejrzenie *byłoby* usprawiedliwione". Użyłem trybu warunkowego, bo doszedłem po namyśle do wniosku, że podejrzenie takie *nie jest* słuszne. Rozwiązanie zagadki „metody porównawczej" jest, zdaniem moim, prostsze. Pan Zbyszewski używa w pewnym miejscu (zresztą w bardzo pięknym i szlachetnym celu) definicji „publicysta prowincjonalny". Czy nie przyszło mu do głowy, że cała jego metoda familijno-porównawcza trąci prowincją?

Józef Mackiewicz opisuje okres okupacji bolszewickiej. Niżej podpisany pamięta z roku 1917 i z półtoramiesięcznej autopsji jesienią 1939 jak to po objęciu władzy przez bolszewików — przez jedną noc — jak pod magicznym zaklęciem — miasta i ludzie dosłownie obrastają brudem. Ludzie czyści i kulturalni prawem mimikry myją się rzadziej, zapuszczają brody, wkładają stare łachy, słowem — przystosowują się. Brud, który W.A. Zbyszewski nazywa „kamertonem powieści" jest po prostu elementem bolszewizmu w jego pierwszym okresie. Nic więc dziwnego że autor opisujący z przeraźliwie okrutnym realizmem sowietyzację Wilna i Wileńszczyzny musiał uwypuklić ten element brudu. Czy można jednak wnioskować z tego, że Józef Mackiewicz jest „pisarzem proletariackim" i nawet „polskim Gorkim" (chwała Bogu że choć „lepszym")? (Przy okazji W.A. Zbyszewski porusza swój faworytny problem spożycia mydła, o czym już w swoim czasie napisał mały traktacik na tle zagadnień przeludnienia. Problem ten interesuje go do tego stopnia, że nawet wymienia różne rodzaje naczyń służących do ablucji. Problem ciekawy, ale wcale nie prosty. Tak np. za dawnej Rosji chłopi choć nie używali wcale mydła, jednak co tydzień parzyli się gruntownie w łaźni, gdy w tym samym okresie — a i po dziś dzień — dżentlmeni w pewnych krajach, należący do klas uprzywilejowanych myją mydłem — wedle przepisu pani Dulskiej — „co dzień twarz i ręce, a w soboty szyję i do pół pasa").

Zgodziłbym się z W.A. Zbyszewskim że stronice „Drogi donikąd", na których inteligenci rezonują i wygłaszają „teorie polityczne" są mniej efektowne i mniej przekonywujące niż inne stronice książki. Ale p. Zbyszewski idzie stanowczo za daleko zarzucając tym teoriom „infantylizm polityczny". Tak np. kwestia czy „bolszewizm jest (wyłącznie) *rosyjską* formą marksizmu" (podkreślenie autora recenzji), czy też — jak to od trzydziestu kilku lat twierdzi jednogłośnie cała prasa i literatura emigracyjna rosyjska — istnieje jakaś inna, przyczajona pod ziemią „dobra" Rosja — jest kwestią zbyt skomplikowaną aby się z nią załatwić jednym machnięciem pióra, choćby to było pióro tak wszechstronnie utalentowane jak pióro W.A. Zbyszewskiego. Dalej: nikt nie zaprzeczy że „rządy Bieruta (zostały) narzucone bagnetami sowieckimi". Nikt również nie ma wątpliwości że gdyby dziś przeprowadzić naprawdę wolne wybory w Polsce, to komunizm zostałby zdmuchnięty w ciągu 24 godzin. Ale — co by się stało w Rosji, gdyby tam takie wybory przeprowadzić? Warto by się zastanowić nad tym pytaniem, a dopiero potem lansować teorię „rosyjskiej formy marksizmu". Może mylnie interpretuję „teorie polityczne" wygłaszane przez różne osoby na stronicach „Drogi donikąd" (czy mają to być koniecznie teorie samego autora?) i może kiedykolwiek Józef Mackiewicz — gwoli uspokojenia recenzentów i czytelników — sam zechce te rzeczy publicznie i „autory-

tatywnie" wyjaśnić, ale osobiście wyciągnąłem z tych teorii zupełnie inne wnioski; moim zdaniem Mackiewicz nie wzywa wcale do powstań i czynnych oporów, a po prostu wskazuje nagą i okrutną prawdę nieodporności wszelkich organizmów ludzkich (nie tylko rosyjskich!) na bakterie komunizmu. Wiemy że bagnety sowieckie narzuciły rząd Bieruta, ale wiemy także, że w cieniu tych bagnetów odbywają się w Polsce przemiany (nie tylko gospodarcze!), którym nadajemy eufemistyczną nazwę „przemian nieodwracalnych".

Zarzut „rosyjskości". Już raz p. Zbyszewski obdzielił w druku tym zarzutem Stanisława Mackiewicza. Teraz — zgodnie ze swą metodą porównawczą i zapewne dla zachowania familijnej symetrii — stwierdza że i Józef Mackiewicz jest „bardzo rosyjski". Zarzut rosyjskości raz po raz wynurza się z nurtu publicystyki polskiej. Czasem ma on postać naiwną, bo streszcza się w zarzucie miejsca urodzenia, szkoły, rusycyzmów, używania zwrotów w języku rosyjskim itp. Oczywiście zarzut p. Zbyszewskiego jest głębszy: chyba zgodzi się on ze mną że użycie wyrazów rosyjskich przez pisarza polskiego jest równie uzasadnione jak użycie wyrazów: *ausgerechnet, entre cousins, allons donc* lub *double scotch*. W.A. Zbyszewski ma przeto na myśli coś znacznie głębszego: *mentalność rosyjską!* Może by wystarczyło gdybym odpowiedział na ten zarzut maleńką anegdotą autentyczną. Przed trzynastu laty pewna urocza poznanianka zarzuciła skromnej osobie niżej podpisanego, że ma mentalność wschodnią (czytaj: rosyjską). Wrodzona szarmanckość nie pozwoliła mi odpowiedzieć tej pani, że najbardziej „rosyjską" (w znaczeniu mentalności) postacią jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem — figurą jakby wyjętą z albumu okrutnych karykatur Sałtykowa-Szczedryna — był pewien dygnitarz prowincjonalny rodem z — Poznańskiego, człowiek w dodatku pochodzenia chłopskiego czyli przynależny do „królewskiego szczepu piastowego". I nie powiedziałem tej damie, że w kronikach mego dość już, niestety, długiego życia mam w zapasie sporo innych przykładów tego rodzaju. Pan Zbyszewski konkretyzuje zresztą swój zarzut rosyjskości. Pisze czarno na białym że powieść Józefa Mackiewicza „wywodzi się w prostej linii z Gogola i Szołochowa". Zacznę od Szołochowa. Autor „Cichego Donu" rzuca na tło olbrzymiej panoramy pokoju i wojny domowej nieskomplikowane ale psychologicznie prawdziwe przeżycia kilkunastu ludzi, którym los kazał się urodzić nie w „usad'bach" szlacheckich lecz w skromnych stanicach kozackich. Stąd też „Cichy Don" to nie „migawki" (jak słusznie pod względem formalnym określa W.A. Zbyszewski powieść Mackiewicza), lecz epopeja. I stąd też nazywano nieraz Szołochowa — mniej lub więcej trafnie — kozackim (choć nie koniecznie „proletariackim") Lwem Tołstojem. Czemuż więc p. Zbyszewski nie wywiódł „Drogi donikąd" bezpośrednio z Tołstoja? Byłby to bowiem „wywód" literacki równie logiczny jak np. porównanie Józefa Mackiewicza z Maupassantem czy z Klementyną z Tańskich Hoffmanową. A Gogol?... Tu już naprawdę „ręce opadają". W.A. Zbyszewski ma wśród naszych publicystów emigracyjnych dobrze zasłużoną opinię erudyty. W tym jednak miejscu erudycja go zawiodła: podejrzewam, że nie tylko nie zajrzał do olbrzymiej literatury o Gogolu, lecz że nawet samego Gogola nie pofatygował się odświeżyć w pamięci.

Końcowy ustęp recenzji byłby pięknym akordem, gdyby... gdyby nie to porównanie Józefa Mackiewicza z Dostojewskim. (Nawiasem mówiąc znów mamy tu przykład tej skłonności do symetrii familijnej, bo o jedną stronicę przedtem p. Zbyszewski porównuje z Dostojewskim również i Stanisława Mackiewicza). Porównanie jest tak żywe i plastyczne, że niewtajemniczony czytelnik może odnieść wrażenie, że między tytanem literatury rosyjskiej a Józefem Mackiewiczem istnieje nawet podobieństwo fizyczne. Tymczasem z obwoluty „Drogi donikąd" widzimy, że Józef Mackiewicz jest przystojnym, stosunkowo młodym człowiekiem o „sarmackiej" powierzchowności (brakuje mu tylko wąsów) i nie ma ani wystających kości policzkowych ani głęboko osadzonych „nieruchomych" oczu genialnego epileptyka rosyjskiego. W ten sposób zakończenie recenzji, które mogłoby być akordem tak pięknym, że wyrównałoby wszystkie poprzednie potknięcia się recenzenta, stało się zgrzytem i niedźwiedzią przysługą.

Na zakończenie — mała uwaga geograficzno-krajobrazowa. Tłem powieści Józefa Mackiewicza jest stosunkowo nieduży skrawek dawnej Litwy, położony na południe od Wilna. Kraj to istotnie „płaski", piaszczysty, nieurodzajny, ale za to lesisty, więc chyba jednak bardziej „pociągający" np. od płaskich i bezleśnych wydmuchów mazowieckich? Zresztą jest to kwestia gustu i nie o to chodzi. Chodzi o to, że p. Zbyszewski utożsamia ten kraj — lub raczej jego skrawek — z krajem opisywanym przez Józefa Weyssenhoffa i Mickiewicza. Tymczasem tłem „Sobola i panny" jest położony o przeszło 100 kilometrów na północ od Wilna „kochany powiat jezioroski" — pięknie pofalowane pojezierze litewskie zwane czasem „krainą jezior" a czasem nawet „Szwajcarią litewską". No a akcja „Pana Tadeusza" odbywa się jak wiemy „na żyznej litewskiej równinie", mniej wprawdzie bogatej w jeziora od „Szwajcarii litewskiej", lecz również uroczo pofalowanej w malownicze „pagórki leśne".

Wyrazy głębokiego szacunku łączę.

Michał K. PAWLIKOWSKI
(Berkeley, Kalifornia)

◆

Szanowny Panie Redaktorze i Drogi Panie Jerzy,

Czyście, na miły Bóg, powariowali w tym Maisons Laffitte?

Jaki to znowu „czynnik społeczny" udało Wam się odkryć w systemie totalitarnej dyktatury? Mam na myśli Wasz apel „Do czterdziestu ośmiu" w listopadowym numerze „Kultury". Piszecie: „Przez dziesięć lat ubolewaliśmy nad nieobecnością w życiu politycznym kraju niezależnego czynnika społecznego. Pojawienie się jego — chociażby w formie ubocznej i przypadkowej — witamy jako zjawisko dodatnie"... itd.

Nie pozostawiacie cienia wątpliwości co do tego, że mówicie na serio, to znaczy że ten list, wzywający emigrację do powrotu, podpisany przez 48 więźniów reżymu, odkomenderowanych w czasie któregoś z więziennych apelów porannych do takiej właśnie roboty, — uważacie rzeczywiście za przejaw społecznej samodzielności tych ludzi. Czym robicie ogromną krzywdę im samym, tym więźniom Bo wyłamujecie się spod ogólnej konwencji, jaka istnieje między Emigracją i Krajem, polegającej na tym że my nigdy nie